

Błysnęło czymś nieodgadnionym i nastąpiła ciemność. Inna od zwyczajnej ciemności, od tej piwnicznej czy jaskiniowej, na inny sposób mrok, choć niezupełnie czarny, zalał świat, a może i wszechświat cały. Po omacku dało się wyczuć kształty, zwizualizować kontury obiektów, siebie pośród nich zlokalizować. Zapach, to też pozostało, zapach piekący w nozdrza, ale z pieczeniem nie mający nic wspólnego. Pośród niezupełnie czarnej ciemności pachniało spalenizną. Słyszeć niby również się dało, ale jakby spod powierzchni wody, dźwięki dalekie, bardziej skórą niż uchem wyczuwalne, a głównie były tam krzyki i jęki, nie ludzkie jednak, a inne, trudne do określenia.

Źle to rokowało, jednak życie ponoć silniejsze od śmierci, przynajmniej za życia. W genach zapisany nieposkromiony pęd do kolejnych oddechów i w żadnym razie aktem woli zaniechać oddechów niepodobna. Tak i ja oddechy łąpałem, nie tyle chcąc, co musząc, z różnymi myślami mknącymi pośród wspomnień, bo marzeń, wszelkich projekcji w przyszłości, pozostało w istocie tyle, co nic. Im dalej, im oddech odleglejszy od godziny zero, tym puściejszy byłem wewnątrz, tym dalej znajdowałem się od osoby zaskoczonej błyskiem. Ta skóra zaś, co i skórą, i uchem, też piekła, wszystko potwornie piekło, a ja z senności wpadałem na przemian w ekscytację powziętą znikąd i pustkę znikąd wziętą.

Czułem dotyk, potworny ból, potem przestałem, potem nastał spokój. Towarzyszyło mi te pozazmysłowe poczucie obecności, ale zupełnie nie miałem pojęcia co z tą obecnością począć. Szepty niemal zrozumiałe, coś o śmierci zesłanej z nieba, o kurtynach z białego fosforu, o gruzach dokoła, ale co wówczas mogło mnie to obchodzić? Z mojej perspektywy nie istniało nic, nic nie miało znaczenia pośród wiecznej nocy, tamte sprawy zostawiłem daleko, i siebie też zostawiałem coraz dalej mknąc ku nicości.

Czas się zatrzymał, a może przyspieszył aż do nieskończoności, w otchłani nie miałem metody by go mierzyć. Próbowałem za tykanie zegara brać bicie serca, ale te jawiło mi się bardzo nieregularnie, tak, że w końcu sam nie wiedziałem czy gna jak szalone, by zaraz pęknąć, czy spowalnia bieg przed ostatnim przystankiem. Zateśkniłem za nim później, gdy kakofonię uderzeń zastąpił szum.

Nagle – wstrząs, trzask, nie, raczej serie kolejnych trzasków. I znów krzyki, jęki nieludzkie zastąpiły szepty. Ja, o ile jeszcze coś ze mnie zostało, w dół. Upadłem, wstrząsnął mną dreszcz. Czułem igiełki kłujące mój grzbiet, gdy wyprostowałem się na kolanach. Na postać dwunożną za późno już, zbyt duży ciężar dla pozostałości członków. Więc jak zwierzę, bo wszyscyśmy, jak mi się zdaje, w ciemnej godzinie do zwierząt upodobnieni.

Ruszyłem targany niewiadomym instynktem, jakby głodem, ale głodny nie byłem, nie tak przynajmniej, jak zdążyłem do tego przywyknąć. Pośród twarzy, pod pokrywą

bawełnianych pasów, nie odnalazłem nawet ust. Bestią się stałem, lecz bezzębną, pozbawioną drapieźnych atrybutów parodią.

Korytarze wąskie, mogłem poczuć gorąc ich ścian objając się od jednej do drugiej. Ściany, a ja z ręką wyciągniętą, nie, z łapą wyciągniętą, by głowę, nie, by łeb uchronić od zderzeń. Bez powodzenia wszystko, bez szans sukcesu, bez choćby świadomości tego, czym ów sukces miałby być. Czasem trafiałem na miękkość, ciepłą, charczącą nie gorzej ode mnie, gdy się po niej przeczłogać, a czasem na większą nawet miękkość, ale mniej ciepłą i niecharczącą. Bywało, że zgliszcza pokonywałem, przedzierałem się przez niektóre, a te bijące żarem omijałem z dala, nie rozum więc stawiał kroki, a żar, płomienie zdające się bić niemal zewsząd.

Za późno pod łapami poczułem schody, poczułem lub poczułam, zsunąłem się, zsunęłam, błędnik oszalał, o ile jeszcze jakiś był, ale wszystko już bez bólu. Im niżej, tym mocniej dźwięki się mieszały, wreszcie nic nie przychodziło na myśl pośród białego szumu.

Powietrze, bo zdaje się niewiele go dotąd zaznałem, czy zaznałam, uderzyło w ciało, wywołało dreszcz, płuca wciąż pracowały. Ciało ruszyło w ostatnim akcie woli, ku powietrzu. W akcie woli, albo pchane zawołowanym w akt woli biologicznym przymusem, wszystko się podówczas rozmywało.

Wiatr targał mną, uderzał ze wszystkich stron, gorący i dławiący. Pośród kolejnych powiewów, zaczepiony resztkami paznokci w glebie, traciłem rozum. Oddalało się wszystko, tylko te paznokcie, tylko ta gleba.

Coraz głębiej i głębiej.

Biały szum przeszedł w szum, coraz wyższy, gdy ja wciąż głębiej i głębiej.

I wszystko ucichło, i wiatr ustał, powietrze stanęło w miejscu, próżnia.

Niezupełnie czarny mrok ściemniał do reszty.

Wróciło wszystko, ale na chwilę. Zerwał się wiatr, wiatr do innych niepodobny. Bezgłośnie zadrżał w posadach cały świat. I porwało bestię, niech będą dzięki opatrności, porwało w otchłań, rozerwało, rozpyliło na atomy, atomy na cząstki elementarne, i nie było już bestii, i nic nie było, cały świat skonał.

I jeszcze resztką tego, co zostało, pomyślała bestia, że wszystkie światła zgasły, że nie ma już światła, że światło się zdezaktualizowało i porwał je wiatr, wiatr niepodobny do innych wiatrów.

*Marin*